

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VI.

Warszawa, dnia 23 Maja 1914 roku

No 21.

Andrzej Strug.

„Pieniądz”

Wszelkie prawa autor-
skie i wydawców za-
strzeżone.

Powieść z obcego życia.

20

Pewnego dnia, błądząc, swoim zwyczajem, po mieście, zaszedł w dzielnicę amerykańską. Było tu pusto i martwo. Zrzadka przemknął samochód, wysunął się z wielkiej bramy jednego z tak zwanych w Paryżu „chateaux”. Snuli się po ulicy ludzie w liberyach, ale okna były osłonięte zaluzjami, ruch przechodniów skapy.

Shurman przystanął na placu „Stanów Zjednoczonych” i rozejrzał się wokoło. Mieszkali tu zwarta masa jego ziomkowie. Dziwna emigracja...

Jakiś prąd nieprzeparty gnał tych ludzi zza oceanu, z własnej ojczyzny, której byli panami, na obcą ziemię, gdzie chcieli być jeno gośćmi. Uciekali nazawsze, wymykali się bodaj na pare miesięcy. Tam pracowali, walczyli, zmagali się ze sobą o panowanie nad światem. Tu-
taj żyli.

Ze starego świata ciągnęła za morze nieustająca wędrowka narodów, pędzona głodem; parli tam na lepszy byt, na wyższy zarobek. A ci, na których pracowali, śpieszyli tutaj, używać.

Shurman, który uwielbiał swoją rasę, swój kraj i wszystko, co amerykańskie, nie rozumiał tego prądu. Miał pogardę dla globtrotterów, dla rozsiansych po wszystkich stolicach kolonii swoich współziomków. Niedalej, jak wczoraj, wgnął brutalnie jakiegoś reverenda, który przyszedł po składkę na nowy, jeszcze jeden kościół amerykański w Paryżu.

— Ufundui im, pan, jeszcze jeden dom publiczny — na to dam, niech tu przedzej pomarnieją!...

Irytowała go wiecznie, a nieraz przerażała lekkomyślność tych ludzi.

Wybrani przez los do panowania nad światem, do wytworzenia nowej, potężnej rasy królów ziemi — tonęli w pospolitem, ordynarnym używaniu życia. Zaledwie jakaś głowa genialna i nadludzka praca przy tajemniczej i nieobliczalnej pomocy szczęścia zbuduje fortunę, — na której można się już wznieść do rozciągnięcia prawdziwej, nieograniczonej władzy nad życiem — jakiś szatan hamuje rozpęd w dążeniu, obezwładnia umysły, odbiera wolę. Jakże często zaraz w następnym pokoleniu tajemnicza choroba odbiera dzieciom wszelką chęć do potęgi, czyni z synów — spadkobierców najdzielniejszych ojców — nędzne, bezczynne i martwe postacie, które nie wiedza, co począć z ojcowską fortuną. Niezdolni do prowadzenia wielkiego dzieła, zagrzebani w bezmyślnych uciechach, lub dławieni okropną nudą, wegetują, marnieją w próżniactwie, lub, dotknięci jakąś manią, pędzą żywot spokojnych waryatów. Miotają się w szaleństwie, jakgdyby ich dusiła ciężar bogactwa.

Już zjawiają się tu i owdzie rozgłośni na cały świat marnotrawcy, którzy po całym świecie rozsypują złoto, jakby się go chcieli pozbyć co prędzej. Wszyscy znają nieprawdopodobne szaleństwa ich obłąkanego żywota, bajki i legendy roznoszone przez reporterów, czytowane z oburzeniem przez całą ludzką. Są to rzeczy nie do wiary w swoim rozpasaniu.

A mało kto wie, że jednak rzadko któremu z tych marnotrawców, choć wyprawiają wszystko, co zdolna wynaleźć nieokiełznana fantazja ludzka, uda się roztrwonić całkowity swój normalny dochód roczny.

Są wreszcie inni szaleńcy. Wydała Ameryka i Henneway, dobroczyńcę ludzkości, opiekuna kuli ziemskiej.

Shurman odwiedził go któregoś dnia. Poszedł, nie mając nic lepszego do roboty — w Paryżu bowiem siedział jedynie dlatego, żeby przyjść do zupełnej równowagi nerwowej przed wielką kampanią, wymagającą jasnej myśli i wielkiego wysiłku. Tam, w domu, nie powinny go ścigać głupie mary.

Obu braci Henneway znał kiedyś dobrze. Ale kiedy obadwaj wycofali się z czynnego życia, stosunki się przerwały. Posiadali oni życie Shurmana, gdyż wraz z nimi usunął się z pola walki najpotężniejszy na kuli ziemskiej, skupiony w jednych rękach kapitał, a wśród zamętu, spowodowanego zachwianiem równowagi pieniężnej, Tom Shurman zagarnął wiele z drobnych fortun, obalonych w krachu. Jednak głęboką była jego pogarda dla tych ongiś działaczy, którzy ustali w sile wieku w połowie drogi.

Henneway mieszkał skromnie w okolicach parku Monceau. W westybulu powitał go i uśmiechnął się doń przyjaźnie, jako do starego znajomego, ten sam Hannibal, murzyn olbrzymiej postawy, o łagodnej twarzy dziecka, który ongiś wyrzucał za drzwi natarczywych agentów giełdowych lub zrozpaczonych bankrutów, a teraz anonsował ambasadatorów, ministrów, a nieraz i przejeźdźnych monarchów.

— Witam cie, Shurman! — Bardzo mi miło, żeś przyszedł. Interesów żadnych oddawna już nie prowadzę, więc zapewne przyszedłeś po starej znajomości, z prostej przyjaźni. Tembardziej mnie to cieszy...

Shurman spostrzegł w nim wielkie zmiany. Odmłodniał i zeszczipał, uczynił się uroczyście i namaszczony, nauczył się mówić górn-

i patrzył z pewnem jakby aktorstwem.

— Bawię tu w przejeździe i wstąpiłem do ciebie, Henneway, dowiedzieć się, co porabiasz i jak się tam czujesz? No i złożyć ci mój hołd...

— Do hołdów nigdy nie byłeś skory, Shurman. Nie udawaj i teraz... Wiem, że mnie nie rozumiesz. Niestety, wielu jest takich w twojej sferze.

— Owszem. Cenię cię, jak wszyscy na obu półkulach. A co słysząc u brata?

— To chory człowiek. Nie miał sobie radzić. Bardzo biedny... Bardzo...

— Doprawdy, wielka to klęska być aż tak strasznie bogatym...

— Tylko bez szyderstwa, Tom. Jeszcze cię rozpieszcza dumą świata. Jeszcze ślepe oczy twojej duszy...

— Dusza. Znowu wielkie słowo! Zapomniałeś mówić po naszemu. Odpowiedz prosto, zwyczajnie. Dobrze ci teraz? Lepiej, niż było?

Henneway stropił się. Na uroczystym jego obliczu odbił się jakby przestach. Oddawna już nikt nie ośmielił się zaczepić go tak obcesowo. Chciał się obrazić. Ale bał się z czemś zdradzić. Musiał się liczyć z Shurmanem, przez którego wyraźnie mówiła opinia potężnego środowiska.

Uśmiechnął się dobrotnie, ale wygolone wargi drgały mu z podrażnienia. Shurman zupełnie po chamsku, po swojemu zajął mu do głębin duszy. Już zapóźno było zasłonić się obrazą. Trzeba było walczyć i zwyciężyć.

— Pamiętasz? Rozmawialiśmy po raz ostatni przed jedenastu laty, kiedyśmy wraz z bratem postanowili zlikwidować nasze interesy.

— Pamiętam, przecie umyślnie po to przyjechałem do was. Myślałem, żeście powaryowali.

— Myśmy dopiero wówczas przyszli do rozumu! Znaleźliśmy punkt wyjścia, cel życia... I cała ludzkość przyznała nam rację.

— Jeszczeby też! Dziady z całego świata nadstawiły dziurawych czapek. Zawyli z zachwyty gazetarzy. I ten ciekawy pan—tu Shurman wskazał palcem na wielki portret cesarza Wilhelma II-go, wiszący na ścianie — też odpowiedział na twój manifest stekiem górnolotnych frazesów i raczył cię wziąć pod swoją cesarską opiekę... Henneway! Ja się ciebie pytam szczerze, po ludzku... Nie opowiadaj mi rzeczy, które dobrze znam. Owszem, jesteś przyjacielem ludzkości. Świata z tobą wygodnie. Wszędzie sięga twoja chwała. Naturalnie. Ale ja się pytam, czyś znalazł spokój własny? Czy ci dobrze? Dostyć ci samej sławy?

— Shurman, nie irytuj się, bo ja swojego życia już nie odmienię.

— Nie o to idzie. Ani nie będę cię przekonywał, ani bym przymuszał, gdybym mógł. Każdy jest wol-

ny! Ale nigdy nie zrozumieć, żeby ci mogło być źle teraz, rozdając pieniądze na prawo i na lewo, niż wówczas, kiedyście z bratem budowali żywe dzieło i tworzyli wokoło siebie wielki ruch! Wówczas byłeś wielkim człowiekiem. Teraz jesteś workiem z pieniędzmi, z którego czerpie obu rękoma, kto tylko chce!

Henneway zerwał się z fotelu bardziej zdumiony, niż urażony.

— Jakto?! To czynić dobro ludzkości znaczy mniej, niż wyduszać ze świata pieniądze? Dopomagać nieszczęśliwym, to gorzej, niż wyzyskiwać pracę ludzką? A kolosalne szachrajstwa? A rozbójnicze wojny? Lepšie to, niż szerzyć dzieło pokoju?! Coś ty powiedział, Shurman? Bój ty się Boga!...

— Wiem, co mówię. Daruj, że nie umiem gadać o niczym, jak francuz. Jeżeli tu przyszedłem, to dlatego, że mnie zawsze bardzo obchodziś. A jeżeli tu jestem, to przecie nie będziesz gadać o pogodzie. Jak nie chcesz mówić po ludzku, to sobie pójdę.

— Shurman, nie irytuj się! Siadajże...

— Przed chwilą nawymyślałeś mi, niczem socyalista na mityngu ludowym. Dobrze. Zdarzają się cuda, że Henneway'e stają się doktrynerami. Ale bądź konsekwentny.... Wycofałeś swoje pieniądze z „szachrajstwa i rozboju“, dobrze. Ale co na to miejsce tworzysz? Rozdajesz miliony. To niewiele. To jest nie! Stwórz z tych pieniędzy coś wielkiego, coś bezinteresownego dla swego narodu lub dla całej ludzkości. Powtarzam: stwórz!...

— Jeżeli to, co czynię, nie jest tworzeniem, to powiedz mi, co znaczy „tworzyć“?

— Jeżeli mnie nie chcesz zrozumieć, to napróżno będziemy gadać.

Henneway drżącymi ze zdenerwowania rękoma zapalał cygaro. Shurman rozglądał się po gabinecie. Oprócz Wilhelma, odkrył jeszcze portret Edwarda VII, a na biurku stała wielka fotografia króla bułgarskiego z własnoręcznym podpisem i dedykacją. To go rozbawiło.

— Shurman! Z czego się śmiesz?!

— Jak ty możesz być w zgodzie ze wszystkimi monarchami świata? Cóż ty poczniesz, jak przynadkiem zaczyna ze sobą wojować? Ha, ha!... Tyłu królów — jednego tylko brak: Henneway'a, króla kolejowego i króla czynu, odwagi, geniuszu... Smutna, pożalowania godna abdykacja!

— Ja szczycę się tą abdykacją!

— Tak mógłby powiedzieć jakiś Tołstoj... Nie! Człowiek nowoczesny nie „rozdaje majątku ubogim“, jak to zaleca Pismo Święte, a buduje. Chyba wiesz dobrze, jak kolosalny gmach mógł stanąć za hennewayowskie miliardy. Ale ty jesteś tylko filantrop...

— Od kiedy to z szyderstwem wymawia się to zaszczytne miano?

— Odkąd wielki Henneway, genialny twórca życia, skapitulował przed życiem!

— A cóż miałem robić, u dyabła? Bez końca, aż — do absurdu gromadzić miliony?

— Coś miał robić? Siegnąć! Brać panowanie w swoje ręce! Narzucić swoją wolę światu! Skierować ludzkość na taką drogę, na jakąbyś zechciał. Czynić wielkie przemiany, wielkie przewroty. Wszystko można, mając miliardy i wolę. Ot, dlaczego sztydę — boś ty Henneway — bo tobie nie było wolno tak uczynić! Jabym uczynił coś innego, gdyby mi zbrzdłło gromadzenie milionów i zakładanie trustów.

— Przypuśćmy. I cóżbyś robił?

— Gdyby mi było tak dalece żal żyć... Tyś im dał, zdaje się, pięć milionów... A jabym ich uwolnił z jarzma! Armenia... Czemuś nie zmiażdżył Turcyi? Mógłbyś, ale tyś tylko dał znowu nare milionów. Bardzo, widzę, polubiłeś uciśnione narodowości. Ale wszystko na małą skalę. Czemu ci nie przyszło do głowy coś naprawdę wielkiego? Ileż to na świecie do zrobienia! Ileż to zadań już gotowych, wypracowanych, którym jednak nowoczesne państwo nie może podołać... I świat czeka.

— Poczekam i ja. Zobaczę, czego też ty dokonasz. Będzie to olbrzymie widowisko.

— Żyj jaknajdłużej, Henneway. Ale nie doczekasz. Dopiero nasi synowie odmieńnią postać świata. Moi syn i inni, tak samo wychowani, jak on. Trzeba wrzód stworzyć nowego człowieka, który by dźwignął zadanie, który by się nie ugiął pod brzemieniem miliardów i nie ułakł się olbrzymiej idei. Dopiero wówczas zakwitnie świat. Ale wtedy nie będzie mieli do powiedzenia ani socjaliści, ani dżentelmeni w gronostajach. My będziemy królami ziemi.

Henneway był nieco odurzony. W tych latach swojej chwały, kiedy go, jak ukochanego dziecko, nęciły nieszczoty całego świata, stracił zdolność samodzielnego myślenia, zwyciężania w sporach, w czym celował niegdyś. Ale zdobył się na uśmiech wyniosły.

— Przeciwnie, stałeś się przez ten czas wielkim poetą.

— Nie kłam, Henneway! Czuję nie widzę, że się wstydziś? Ugiąłeś się. Nie wytrzymałeś swojego bogactwa. To choroba wieku. Pracowałeś, budowałeś przez długie lata w gorączce i w zapamiętaniu. Dopiero kiedyś spostrzeżę własną potęgę, zdjął cię strach. Uciekłeś z pola.

— Nie kłam, Henneway! Nie kłam przedemną w cztery oczy! — zawołał, widząc na twarzy Henneway'a wysiłony, szyderczy uśmiech. Uśmiech znikł, natomiast oczy stały się ponure, złe i cisnęły piorunem. Tak niegdyś umiał spojrzeć na wroga dawny Henneway-zdobycwa,

W tej ciężkiej chwili Hannibal oznajmił czyjeś przybycie. Henneway ucieszył się niezmiernie, że go to wybawi z przykrego położenia.

— Zobaczysz bardzo ciekawego człowieka. Przychodzi w sam czas, jakby jakim cudem dowiedział się o naszej rozmowie. Właśnie on tu będzie miał najwięcej do powiedzenia.

— Któż to taki?

— Doktor Hebrard, socyolog, mędrzec a mój wielki przyjaciel.

— Mogę go posłuchać, ale tu jest tacy, jak my, mamy coś do powiedzenia. My jedni.

Wszedł a raczej wbiegł drobny, kroczkami młody, małeńki i szczupły, jak trzaska, człowieczek o olbrzymiej łysej głowie. Spojrzenie jego ogromnie zbliżonych, jak u małpy, oczu było ostre i nieprzyjemnie przenikliwe.

— Ależ znam pana, znam oddawna — trzepał dość poprawnie po angielsku. Napisałem studium o drogach wodnych Stanów południowych, pamięta pan, trzy lata temu, w „Nineteenth Century”? Nie miałem jednak szczęścia osobiście. Kilkakrotnie za pobytu pańskiego w Paryżu prosiłem listownie o pozwolenie złożenia wizyty, ale nie miałem szczęścia otrzymać nawet odmownej odpowiedzi. Rozumiem dobrze, że w stosach listów, którymi pan jest zasypywany codziennie, a których niesposób nawet przeglądać...

— Ach, to pan napisał ów artykuł... Pamiętam. Nie było tam ani jednego słowa prawdy. Pan w Ameryce nie był?

— Ach, panie. Cała Ameryka jest w naszej „Bibliothèque Nationale”. Właśnie my, uczeni, tem się różnimy od ludzi czynu, że możemy z odległości, a zatem obiektywnie, z całą surowością analizy, nie ulegając żadnym wpływom...

— Pozwól, panie Hebrard. Spieraliśmy się tu właśnie o znaczenie wielkich fortun.

— Życie poświęciłem badaniu tej kolosalnej kwestyi.

— Wiele też pan ma lat? — spytał Shurman, widząc ze zdumieniem, że młody uczoney mienił mu się w oczach i niekiedy na moment stawał się zupełnym starcem.

— Mam lat sześćdziesiąt trzy. Ale, istotnie, powierzchowność moja wielu ludzi. Trzydzieści lat temu zajmowałem się pracą nad rodem i domem Rotszyldów. Niebawem jednak pochłonięta mnie całkowicie Ameryka — wspaniałością i ogromem swoich zjawisk ekonomicznych, błyskawicznością rozwoju.

— A psychologią tych zjawisk zajmowałeś się pan? Jednym słowem, zadałeś pan sobie kiedy pytanie, jak się to odbija na ludziach? Na tych niewielu, o których narazie — zupełnie niesłusznie zresztą — gadają, że są panami świata?

— Ależ, naturalnie! Jest to moja specjalność. Cały ogrom najciekawszych zjawisk! Kopalnia nienaruszona. Bo jeden ja...

— Zaraz. Cobyś pan zrobił, gdybyś się dorobił paru miliardów? Jeżeli na tej kwestyi zęby zjadłeś, to musisz wiedzieć. No, i co?

Dr. Hebrard uczynił się młodym, starym, poczem odmłodził ostatecznie i rzekł, wyciągając długie ramiona w kierunku Henneway'a, gestem uroczystym, jakgdyby go prezentował całej ludzkości.

— Mamy tu przed sobą wzór idealny, niedościgłe kolosalny. Cały świat pochyla głowę... Ale jestem słabym człowiekiem... Ja? Nie wiem, co bym uczynił. Mówię szczerze.

— No, na to nie trzeba być uczonym, to samo by odpowiedział mój szofer... Szczerść za szczerść, panie...

— Doktor Hebrard, członek Akademii...

— O, aż tak? Tembardziej żałuję. Zawsze przypuszczałem, że uczeni niewiele wiedzą o życiu.

— Najszanowniejszy panie! Jeszcze nie czas na syntezę. Groma-

dzimy kolosalne materiały, ustalamy metody. Pieniądz ma olbrzymią literaturę, do której i ja...

— A co będzie dalej? No, za sto, za tysiąc lat?

Dr. Hebrard zestarzał się nagle, jakgdyby go przywalały te straszne okresy czasu. Bezradnie rozpostarł ramiona.

— Nauka nie zajmuje się podobnymi sprawami. Istnieje o tem bogata literatura lekka, fantastyczna... Bajki felietonowe dla tłumy...

— Moi panie, ja się ciebie o bajki nie pytam! Albo sam nie wiesz, albo nie chcesz gadać. Zapewne i jedno i drugie. Otóż ja ci powiadam, że pieniądz jest wieczny! Jego potęgą wytworzy panującą rasę, której świat się podda. A tymczasem nie ma ludzi! Zaprawdę rośnie bogactwo, przyniata i miazdzy samych tych, co je stworzyli. Trzeba sił, zdrowia, wielkiej idei. Każdy tańcuje sobie z milionem. Ale niech dźwignie miliard! A dalej? Otóż są ludzie, co o tem myślą. To oni uratują świat od socjalizmu i anarchii. Ludzkość nie znieśnie błaznów, którzy rozsypują pieniądz na rozpustę, zetrze puszcących się, skretyniałych epigonów. Ale ukorzy się przed bogami świata! Ludzkość bardzo tęskni do bogów, panie Hebrard, o czem zapewne nie słyszano w twojej akademii...

I Shurman podniósł się wzburzony, żalując po niewczasie, że aż tak rozgadał się, i to przed ludźmi, których miał za zupełnie głupich. Było jego zasadą nie mówić nic, a czynić. Spostrzegł się i roześmiał szeroko, by pokryć niezadowolenie z siebie.

Uczony zawtórował mu natychmiast dziecięcym, cienkim głosikiem. Ale Henneway patrzył na niego ponuro.

— No, dosyć tego głupiego gadania. Co będzie za sto lat, obaczą inni, ale za dwa lata przekopią nam kanał! Co też mi powiesz o Panamie, drogi doktorze?

DCN.

ADOLF NOWACZYŃSKI.

MEANDRY.

O czem tu dumać na warszawskim bruku?
Patrząc, jak w oczach rośnie czerni robactwa,
Dzięki małactwom porasta w bogactwa,
Jak się to bractwo śmieje do rozpuku
Z ciebie, rycerzów błędnych praprawnuku,
Widząc, jak błędnie jażn twego rodactwa.

Opuszczać miasto! Na wieś emigrować;
Powietrze miejskie pełne dymu mgławic
Zabójczem staje się dla polskich tchawic,
Tu się coś dusza polska zdaje psować...
...Tak to raz zaczął przy nas perorować
Pan Janusz Pinkus, właściciel Raclawic.

L'improductivité slave! Tym oto frazesem,
Jak ogonkiem wywija polski biedny bies.
Tymczasem indolencyi swej serb zrobił kres...

Czech interes zakłada ze szkłem nad Gangesem;
Bułgar się szczyci swym Cecil Rhodesem
Et restera aussi incurie polonaise.

Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi,
Jak ojców, chłopów, bydło bije,
Jako jest w długach aż po szyję,
Jak z gospodarką swą się biedzi,
Jak pośmiewiskiem jest gawiedzi
I jak w swej autonomii żyje.

Za dużo książek drukują drukarze
U nas, a czyta się tego zamało.
Więc co tu zaraz okrywać się chwałą,
Gdy bibliografja z blamażem pokaże,
Że to brewiarze są i kalendarze
I tomy z poezją sparciałą.

Odczyt był ilustrowany nękającymi obrazami i zawierał bardzo ciekawe, ale i przerażające opisy, a gdy komendant mówił o niebezpieczeństwach i trudach, jakie przebyli, znalazłszy się na znacznej wyniosłości, ogarnięci śnieżyca, prawie bez żywności i opał i z myślą o czyhającej zewsząd śmierci, mimowoli poszukałam ręki Jurka, by się upewnić, że on rzeczywiście przy mnie siedzi.

W zakończeniu komendant z wielką skromnością mówił o sobie, nadmienając, że nigdy nie byłby dosięgnął 87-go stopnia, gdyby mu w tem nie dopomogli towarzysze wyprawy.

— A choć to wszystko jeden z drugiego dzielne zuchy, — dodał — muszę jednak, nie czyniąc krzywdy innym, wymienić tu młodego doktora naszej wyprawy, Jerzego Conrada. Ma on swoje własne plany i wybiera się znów pod Biegun, by przysłużyć się ludzkości wielkiem dobrodziejstwem, w czem niech mu Bóg szczeni i błogosławi.

Na te słowa cała sala zatrzęsa się od okłasków, a Jurek siedział, rumieniąc się, jak chłopak, gdy go przedstawiają przyjaciółkom dorosłej siostry.

Co do mnie, zdawało mi się, że nigdy nic równie pięknego nie słyszałam, i byłam gotowa płakać z radości.

A wróciwszy do hotelu, płakałam, ale z innego powodu. Myślałam o moim ojcu, o tem, czemu tak mu spieszno było wydać mnie za mąż.

— Czemu? czemu? czemu? — powtarzałam wśród łkań.

Rozdział XLIV.

Nazajutrz Jurek wpadł do mego saloniku z paczką listów w ręku, mówiąc:

— Bardzo to było pocziwie ze strony komendanta, ale, patrz, jakiego piwa mi nawarzył.

I pokazał mi odezwy od różnych dzienników, proszące o portrety i interviewy, a zwłaszcza od jednego z wielkich londyńskich dzienników z żądaniem artykułu o celu i rodzaju zamierzonego przedsięwzięcia.

— I co ja pocznę teraz? — biadał Jurek. — Choćby o życie chodziło, nie potrafię dwóch słów do druku napisać. Pióro, to nie mój instrument. Ale ty byś z pewnością potrafiła. Szyję bym dał że napisałabyś lepiej, niż sam Robinson Kruzoe. Więc ja ci opowiem wszystko jaknajdokładniej, a ty mi z tego zrobisz artykuł. Dobrze, złota Mally?

Nie mogłam się oprzeć takiemu wezwaniu. A w głębi duszy rada byłam znaleźć wymówkę przed włas-

nem sumieniem, że nie mogę już unikać Jurka, skoro mu jestem potrzebna.

Siedzieliśmy więc cały dzień nad robotą, a choć nie było to rzeczą łatwą ująć w słowa bezładne, żywiołowe opowiadania Jurka, dałam sobie jakoś radę, i gdy wreszcie odczytałam moją pisaninę Jurkowi, był zachwycony.

— Nadzwyczajne! Czy nie mówiłem, że potrafisz lepiej, niż sam Robinson Kruzoe.

W swoim czasie artykuł ukazał się w druku i narobił wielkiego hałasu; gdziekolwiek się zwróciłam, rozprawiano o nim, a choć jedni mówili „Mrzonki“, jak mój mąż, a inni „Brednie“, rezultat był taki, że ów wielki dziennik ogłosił publiczne zapisy w celu zebrania funduszy na uskutecznienie Jurkowych zamierzeń.

To sprowadziło mu olbrzymią korespondencję, tak, że codzień przychodził do mnie z pliką listów, błagając, bym mu pomogła w odpisywaniu.

Wiedziałam, że narażam się na wielkie niebezpieczeństwo, torując w ten sposób drogę pokusie, niemniej rezultat był taki, że dzień po dniu siadywałam w moim saloniku, odpisując na zapytania niedowiarków, na powinszowania zwolenników i na oferty pomocy dla osób, pragnących przyłączyć się do eksploracji.

Och! co to była za radość! Jakby świt nowego jakiegoś życia! Ale największem szczęściem była mi rola opiekunki przeciwko porywom jego zbyt szczodrej natury, wiele bowiem z tych listów kończyło się prośbą o datek; on zaś nie był bogatym, a nie umiając się oprzeć błaganiom, byłby się poprostu zrujnował, gdybym ja go nie wstrzymywała.

Czasem też zdarzało się, że rzucałszy okiem na jakiś list, miał go i odkładał na bok, mówiąc:

— Hm! To się załatwi później.

— Cóż to takiego? — pytałam.

— O! nic! nic! — odpowiadał.

— Pokaż mi natychmiast! — mówiłam i potem z rozradowaniem sercem pisałam kilka lodowato-odmownych słów do jakiejś zuchwałej kobiety, która próbowała grać na czulej strunie mego ukochanego chłopca.

Och! to było cudnie!... Czułam, że odradzam się w tych rozkosznych godzinach duchowego obcowania z Jurkiem! Gdybyż to tak mogło trwać bez końca!

Czasem mąż mój i Alma zaglądali do nas, a wówczas ja rumieniłam się po same białka oczu, gdy Jurek mówił swobodnie:

— Łowią ryby cudzą wędką, jak pan widzi.

— Widzę — odpowiadał mój

mąż, wsadzając monokl w oko i ukazując przednie zęby w jakimś przykrym uśmiechu.

Alma zaś dodawała:

— To właśnie coś, co nasza droga Maryjka lubi. Zdaje mi się, że wolałabyby siedzieć w tym bezsłownym pokoju, pisząc listy dla pana Conrada, niż asystować w lordowskiej koronie koronacy jakiego króla.

— Zgadła pani. Bywają takie kobiety — odpowiadał Jurek, patrząc jej prosto w oczy, a gdy odeszła (śmiejąc się niby, lecz z tem samem wystraszonem spojrzeniem, które już przedtem zauważyłam), mruczał jakby sam do siebie:

— Niecierpię tej kobiety. To żmija! Chętna mnie bierze zgnięść ją, jak jadawitego gada.

Pewnego dnia Jurek wpadł do mego pokoju, po chłopięcemu rozradowany z wiadomością, że potrzebne fundusze już są zebrane i że właściciel dziennika wydaje na cześć przyszłej ekspedycji wielkie śniadanie w jednym z hoteli. Wprawdzie będzie to uczta wyłącznie męska, ale kilka pań zasiądzie na galerii, a pomiędzy nimi i ja.

Zbyt długo już igrałam z ogniem, by teraz odmówić sobie tej niebezpiecznej przyjemności, to też w oznaczonym dniu udałam się do hotelu, cała drżąc rozradowaniem i dumą.

Śniadanie było już prawie skończone i miały się rozpocząć mowy, gdy zajęła przeznaczone mi miejsce na galerii pomiędzy dwiema młodymi amerykankami. Były one prawie równie podniecone, jak ja, i lornetując siedzących na dole mężczyzn, zapytywały się wzajemnie, który z nich jest panem Conradem, co tak pogłaskało moją próżność, żem go im wskazała, a następnie pożyczyłam sobie od nich lornetki, by przypatrzeć się mówcy, który właśnie powstał.

Był to młody jeszcze człowiek, a w oczach jego palił się ten sam ogień wyobraźni, który gorzał zawsze w żrenicach Jurka, w głosie dźwięczała ta sama namiętna nuta entuzjasty.

Mówił, że dzień dzisiejszy otwiera nową kartę w cudownej księdze historii człowieka, że choć niebezpieczeństwa bezdennych otchłani nie dadzą się zapewne nigdy pokonać w zupełności, a wichry dać będą w dal szym ciągu, jak im się będzie podobało, to jednak przez poznanie jednych i drugich ludzkość poirafi w części stawić im czoło.

Po tych słowach i po złożeniu wyrazów serdecznego uznania dla Jurka, jako dla człowieka, wznosił w jego ręce toast za pomyślność ekspedycji.

Gdy Jurek powstał, aby zabrać głos, rozległy się grzmiące oklaski, lecz ja byłam tak zdenerwowana, że ich prawie nie słyszałam. I on był również zdenerwowany, bo po kilku

słowach podzięką zaczął miętosić arkusiki mowy, którą przygotowaliśmy wspólnie, próbując czytać, lecz myląc się co chwila i gubiąc watek tekstu.

Duże krople potu wystąpiły mi na czoło; w gardle coś poczęło dłać, gdy nagle Jurek cisnął papiery na stół i rzekł zupełnie innym głosem:

— Koledzy, chciałem powiedzieć: panowie! Nigdy w życiu nie umiałem napisać mowy, a jak widziacie, nie umiem jej przeczytać, ale wiem, o co mi chodzi, i jeżeli zechcecie mnie posłuchać, to będę mówił, jak potrafię.

Poczem prostym ale jasnym i szczerym stylem żeglarza, z oczywistą gorącością, jak błękitne żuźle, zaczął opowiadać o swoich celach i nadziejach.

W zakończeniu zaś rzekł:

— Mój szanowny przedmówca wspominał coś o dobroczynnym wpływie wielkich samotni Natury na charakter człowieka. I tak jest w istocie. I nigdzie tak człowiek nie czuje nad sobą potęgi Boga i nie garbi się pod Jego opiekuńczą dłoń, jak kiedy otoczy go zewsząd groźny bezkres, a on jest sam obcy i głodny. Nie wiem, gdzieście byli w zeszłym Boże Narodzenie, koledzy, chciałem powiedzieć, panowie; wiem za to, gdzie ja byłem. Byłem pod 85-tym szerokością, a 163-im długością, o cztery mile na południe, a o trzydzieści na zachód od szczytu Darwina. Była to właśnie ta wycieczka, którą przedsięwzięliśmy na własną rękę, a którą mój komendant ponad jej wartość cenił. Otoż gdyśmy tego ranka wyszli z naszych nocnych worków, jak okiem sięgnąć, ujrzelśmy tylko toczące się zwalę śnieżne; my zaś byliśmy na wydmuchu na siedem tysięcy stop wysokości, otoczeni zewsząd lodowcami, które nam zaoradzały drogę do morza.

Było nas sześciu gromady i żaden z nas nie miał wielkich kwalifikacji, aby się dostać do Raju; ale przypomniał nam sobie wszyscy, jak to był dzień uroczysty dla całego chrześcijańskiego świata i jak tam nasi bracia i siostry szli teraz do kościoła. Więc chcieliśmy uprzytomnić sobie, że jednak nie jesteśmy całkowicie odcięci od nich, i ja wydobyłem książeczkę do nabożeństwa, którą na odjeździe matka włożyła mi do torby, poczem stanęliśmy wszyscy kołem na śniegu z odkrytymi głowami, obszarpani, wynędzniali, niegoleni od miesiąca, ja zaś odczytałem na głos wszystkie modlitwy na ten dzień i Laudate Dominum, i de Profundis.

I mogę was upewnić, że nam się zaraz raźniej zrobiło na duszach, ale że ostateczności zawsze się spotykają, więc i tutaj tak było, bo ledwie skończył czytać te uroczyste słowa „Z głębokości wołamy do Ciebie, o, Panie! Panie! usłysz wołanie nasze“, gdy wtem stary majtek, imieniem Treacle, wysforowywa się na-

przód i woła: „A błogosław też, Panie Boże, naszym biednym babom tam, het, u nas“.

Jeżeli Jurek mówił jeszcze co więcej, to nikt go nie słyszał. Mężczyźni na dole obcierali nosy, a kobiety na galerii płakały głośno.

Co ja sama wyrabiałam i jak wyglądałam, nie wiem, wiem tylko, że sąsiadka, która mi pożyczyła lornetki, pochylała się ku mnie, pytając:

— Przepraszam, że pytam, ale pani jest zapewne jego żoną?

— O! nie! nie! — zaprzeczyłam gorączkowo; lecz Bogu tylko wiadomo, jak mnie ta nazwa przeniknęła nawskroś.

Obrałam złą drogę i wiedziałam o tem. Moja duma, moja radość, moje szczęście, wszystko mnie oskarżało, i gdy tego dnia kładła się spać, miałam uczucie, iż jestem występłą kobietą.

Rozdział XLV.

Próbowałam szukać ratunku w religii. Codziennie korzyłam się przed Majestatem Niebios, błagając o przebaczenie mi zbrodni kochania Jurka Conrada.

Zacząłam wypełniać gorliwie wszelkie drobne religijne powinności, które zaniedbałam po wyjściu za mąż (jak naprzykład żeganie się znakiem krzyża świętego przy wstawaniu od stołu), odmawiałam codziennie de Profundis z myślą o mojej matce, jak mnie o to prosiła, ale nie przyniosło mi to żadnej ulgi.

Prawda, że miłość moja dla Jurka była tem, co świat zowie czystą miłością; niemniej mówiłam sobie, że, kochając go, popełniam wiarołomstwo serca.

Zacząłam chodzić codziennie do spowiedzi, ale to poczucie radosne spływającej na mnie Łaski oczyszczenia opuściło mnie. Moim spowiednikiem był staruszek, którego drżący głos zdawał się sięgać w najgłębsze tajnie mego jestestwa. Stary mój trwożył go bardzo i raczył mi, bym dniem i nocą błagała Boga o umocnienie mnie przeciw pokusie.

— Zło oblega twoją duszę, moje dziecko — mawiał. — Walcz z niem, moja córko.

Próbowałam iść za wskazówką mi mego duchowego ojca, ale, o! jakże to było trudno! Jurek potrzebował tylko wziąć mnie za rękę i popatrzyć mi w oczy, aby moje najcięższe postanowienia pierzchały w jednej chwili.

Wskutek tych ciągłych wewnętrznych walk zaczęłam tracić zdrowie. Już nie z rozmysłu, lecz z konieczności, przebywałam po całych dniach w moim pokoju, ale i tu miłość dla Jurka wisiała wciąż, jak groźący miecz, nad moją głową.

Moja pokojówka Price śpiewała nieustannie hymny pochwalne na jego cześć. To był dopiero pan! taki wesoły, szczerzy, dobry, taki mężczyzna w każdym calu, że co się tu

dziwić kobiecie, która by się w nim rozkochała bez pamięci.

Słowa jej dźwięczały mi, jak najśłodsza muzyka, i nieraz brała mnie chęć zarzucić jej ręce na szyję i ucałować ją; lecz w innych chwilach strofowałam ją, mówiąc, że grzechem jest zaprzętać tak sobie myśl jedną ludzką istotą, na c. Price, która była uosobieniem kobiecości, otwierała szeroko swoje błyszczące, czarne oczy.

Prawie codziennie przynosiła mi pęk kwiatów, które Jurek kupował w Covent Garden, jeszcze rosą poranną zwilżonych. Lubiłam mieć je przy sobie, lecz zauważywszy, że ich widok pobudzał mnie do tem tkliwszych myśli o ich ofiarodawcy, wynajdywałam zawsze jakiś pretekst, by je do saloniku odesłać.

Po pewnym czasie, Price, domna na moje poprzednie wykręty, poczęła mnie podejrzewać, że udaję tylko chorobę, by trzymać Jurka zdaleka i, spoufaliwszy się trochę ze mną, pozwalała sobie na różne uwagi.

— Ja bym tam tak nie potrafiła — mówiła — doprawdy, że bym nie potrafiła. Dobre to dla nas kobiet, ale mężczyźni nie rozumieją się na takich sposobach. To czyste dzieci, jak ich lepiej poznać.

Były chwile, że Price wdawała mi się wysłanniczką szatana, by mnie przywieść do grzechu i prawdę powiedziawszy, działała nieraz w tym duchu. Raz naprzykład rzekła:

— Gdybym była zameżną z człowiekiem, którego bym nie kochała i który by mnie nie kochał, a ktoś inny, stokroć więcej wart od niego, czekał tylko na moje skinienie, to bym mu nie była przeciwną. My, kobiety, musimy zawsze iść za sercem, taki już nasz los.

Wówczas złażałam ją strasznie, pytając, czy zapomniiała, że mówi do swojej pani i do kobiety zameżnej, ale jednocześnie czułam, że gniewam się nie na Price, lecz na siebie samą, ona bowiem przyoblekała tylko w słowa myśli dręczące mnie skrycie.

Leżałam już jakiś tydzień w łóżku, gdy Price weszła z listem w ręku i wyrazem tryumfu w swych czarnych oczach.

— A co? myłady! Czy nie powiedziałam? Tak się pani upierała przy swoim, aż go pani przepędziła. Wyprowadził się z hotelu i będzie mieszkał na statku.

Przestraszyłam się ogromnie, lecz kazałam Price odejść, dodając, że straci miejsce, jeżeli będzie sobie tak pozwalała dalej, lecz jestem pewna, że widziała, idąc ku drzwiom, jak wzięłam list Jurka, który rzuciłam na stół, i przycisnęłam go do ust.

List był bez znaczenia. Jurek doniósł mi poprostu, że jedzie do Tilbury na kilka dni, by wziąć w posiadanie dawny statek, mający służyć teraz nowej ekspedycji, w dopisku jednak dodał:

„Jeżeli byś mnie potrzebowała,

daj mi znać jednym słowem, a przybędę lotem ptaka”.

— Co począć? Co począć? — myślałam rozpaczliwie. Czego tylko pożałowało moje serce, to potępiała moja dusza i nie widziałam znikąd pomocy w tej okrutnej rozterce.

A przez ten czas mój mąż i Alma tonęli w wirze zabaw londyńskiego sezonu.

Pewnego wieczoru, gdy oboje udali się na bal przy Grosvenor Square, dostałam tak silnego ataku serca, że Price wystraszona, uwierzywszy wreszcie w moją chorobę, pobiegła do Hobsona, lokaja mego męża, by poszedł po niego i sprowadził go copędzej.

— Pójdę, ale to się na nic nie zdało — odrzekł Hobson.

Jakoż po upływie pół godziny wrócił z odpowiedzią mego męża:

„Posłać po doktora”.

Wtedy Price oburzona i nie wiedząca co począć, zatelegrafowała do Jurka na statek, donosząc, że zachorowała i pytając, jakiego doktora ma wezwać.

W godzinę potem przysłała odpowiedź nie z Tilbury, lecz z Portsmouth'u tej treści:

„Wezwać doktora H* z Brook-Street. Przyjeżdżam natychmiast”.

O wszystkim tem dowiedziałam się dopiero wtedy, gdy Price weszła do mojej sypialni, powiewając tryumfalnie telegramem Jurka, jak czemś, z czego miała prawo być dumna.

— Jakto? telegrafowałaś do pana Conrada? — zapytałam.

— A jakże — odpowiedziała Price. — Skoro jaka dama jest chora, zaś mąż się o nią nie troszczy, a jest ktoś inny, co by się dał porąbać w kawałki, byle ją paluszek nie zabolął, to, co kobieta ma czynić?

Powiedziałam jej, czego nie ma czynić. A więc przedewszystkiem nie wzywać doktora, a gdy Jurek przyjedzie, dać mu jasno do poznania, że działała na własną odpowiedzialność.

Przyjechał koło północy i Price przyprowadziła go do mego pokoju w długim paltocie, zakurzonym do niemożliwości.

Ujrawszy go, zaczerwieniłam się i zmieszałam, bo widocznem było z jego twarzy, jak bardzo się zaniepokoił z mego powodu, a gdy się uśmiechnął, widząc, że nie byłam tak znowu bardzo chora, jak sobie wyobrażał, zawstydziałam się ogromnie.

— Pożałujesz, żeś odbył tak daleką drogę dla tak błahej przyczyny — rzekłam.

— Ja pożałuję? — odpowiedział. — Ależ, na Boga, jeździłbym codzień dwa razy dalej, by ujrzeć cię tak dobrze wyglądającą, jak w tej chwili.

Jego błękitne oczy świeciły, jak słońce z poza chmury, i ta jego radość zabolala mnie do żywego.

Chcąc ukryć moje wzrastające

pomieszanie, zapytałam, na jaki pociąg zdążył do Portsmouth, że mógł przyjechać tak wcześnie.

— Och, nie. Nie przyjechałam koleją, bo przed jedenastą nie było pociągu — odpowiedział.

— Więc jak? — spytałam zdumiona i choć zrazu chciał się wykreścić sianem, wydobyłam wreszcie z niego, że najął samochód i przejechał siedemdziesiąt mil do Londynu w ciągu jednej godziny.

To mnie ostatecznie dobiło. Słowa uwieźły mi w gardle. Zdawało mi się, że mnie wzruszenie zadławi. Opanowawszy się wreszcie, wzięłam rękę Jurka i przycisnęłam ją do ust; a potem odwróciłam się do ściany.

Rozdział XLVII.

To już było kroplą przepełniającą naczynie, i gdy nazajutrz koło południa mój mąż wszedł do mego pokoju z zaspanemi oczyma, bąkając jakieś przeproszenie i pytając, czy doktor był u mnie, rzekłam:

— James'ie. Chcę cię prosić, żebyś mnie zabrał do domu.

— Do domu?... To jest niby gdzie?... Do Zamku Ra'a?

— Tak.

Zawahał się; ja zaś zaczęłam prosić go i nalegać, by mi nie odmawiał.

— Proszę, błagam, zabierz mnie do domu.

— Ha, — rzekł wreszcie — znasz moje zapatrywania na tę zapadłą dziurę; ale sezon się już kończy, więc ostatecznie możemy jechać, lecz pod warunkiem, że nie będziesz się sprzeciwiała, jeżeli zaproszę parę osób, by jakoś dom ożywić.

— To twój dom — odpowiedziałam. — Rób, jak ci się podoba.

— W takim razie dobrze — rzekł wstając. — I kto wie, czy ci to nie wyjdzie na pożytek, że zaprzestaniesz tych wędrówek po kościołach i wykłękowania przed konfesyonałami, bo ci wasi spowiednicy tylko gnębią ludzi, jeżeli nic gorszego nie robią.

Wkrótce po wyjściu mego męża przyszła Alma, czulsza, niż kiedykolwiek.

— Ach, Maryiko najmiłsza, biedaczko droga, — rzekła słodko — gdybym była przypuszczała, że tak źle z tobą, nigdy nie byłabym pozwoliła twemu mężowi zostać minutę dłużej na tem nudnem przyjęciu. Ale jak to pocziwie ze strony pana Conrada, że przyjechał! To się nazywa być przyjacielem!

Po tym wstąpię przyszła kolej na istotny cel odwiedzin, którego zresztą domyśliłam się od pierwszej chwili.

— Słyszę, że macie mieć gości na Zamku Ra'a. Twój mąż pisze już stosy zaproszeń w swoim pokoju. Prosił mnie również, i pojechałabym z największą chęcią, ale, oczywiście, nie mogę tego uczynić bez twojego

zezwoleń. Jakże? czy zaprosisz mnie również?

Cóż mogłam odpowiedzieć? Nie wiem nawet, co odpowiedziałam; wiem tylko, że Alma rzuciła mi się na szyję, wołając:

— Ach! ty anielskie, kochane stworzenie! Niech cię uściskam!

Stało się zatem. Zresztą, jakiemże prawem stawałabym teraz na piedestale moralności? I co mnie to w gruncie rzeczy obchodziło? Uciekałam przed niebezpieczeństwem własnego wiarełomstwa, a nie dlatego, by uniemożliwić je memu mężowi.

Price była obecna tej rozmowie, ja zaś po wyjściu Almy nie śmiałam spojrzeć jej w oczy.

— Nic, mylady, nie rozumiem, doprawdy nie rozumiem — rzekła, wzruszając ramionami.

Nazajutrz napisałam do Jurka, donosząc mu o zamierzonym wyjeździe i zakazując mu, żeby nie tracił czasu na pożegnalne rozjazdy; w duszy jednak żywiłam nadzieję, że mnie nie posłucha.

Jakoż tak się i stało. Nazajutrz nie wyszłam jeszcze z sypialni, gdy usłyszałam jego głos w saloniku. Rozmawiał z Price, która udzielała mu swoich poglądów na Almę.

Gdy weszła, uderzył mnie dziwnie surowy i stanowczy wyraz jego twarzy, która w ostatnich czasach nabrała ogromnej ekspresji; powitał mnie jednak serdecznie i miękko, mówiąc, że dobrze robię, wracając do domu, i że ojczyste powietrze oddziała pomyślnie na moje zdrowie.

— Ale czegoż to się dowiaduję? — że i ta pani jedzie z wami?

Próbowałam zbagatelizować tę sprawę, ale mi się nie udało, bo Jurek patrzył na mnie i widocznem było, że nie dowierza moim żartobliwym słowom.

Zrazu zafrasował się i zamyślił, jakgdyby usiłując zrozumieć, czemu, cierpiąc, jak mu się zdawało, nad niewiernością mego męża, sama mu do tego nastęrczam sposobność, poczem rzekł nagle:

— Nienawidzę tej kobiety. To żmija. Rozdeptałbym ją, jak jadowitego gada, i jeszcze to kiedyś uczynię.

Boleśnie mi było nad wszelki wyraz postępować z Jurkiem nie-szczerze, ale iakże mogłam mu powiedzieć, że uciekam nie przed Almą, lecz przed nim?

Gdy nadszedł dzień odjazdu, mówiłam sobie, że będzie najlepiej, jeżeli pojadę, nie zobaczywszy się z nim więcej, lecz zaledwie wsiadłam do przedziału, zdjął mnie okrutny żal, że Jurek nie zjawił się, by mnie pożegnać.

DCN.



Wiadomości literackie

HANDELSMAN MARCELI. *Napoleon a Polska*. (Biblioteka Naukowa Wendego. Redaktorzy: Franciszek Pułaski i Ludwik Silberstein). Warszawa. Nakładem księgarń E. Wende i S-ka. Lwów: H. Altenberg, G. Seyfarth, E. Wende i S-ka. Z drukarni przy Zakładzie narod. im. Ossolińskich we Lwowie. 105 × 17. Str. VII + 162 + 2 nl. W oprawie Rb. — 70.

Pisząc na tem miejscu o nowo rozpoczętym wydawnictwie „Biblioteki Naukowej Wendego” i wyjaśniając, w jakim kierunku zamierza ono dążyć, zaznaczyliśmy jednocześnie, jak dalece potrzebne nam są prace tego właśnie rodzaju. W jakim mają być te, które w skład „Biblioteki” wejdą. Przypomniawszy więc tylko, że „ma ona na celu pogłębianie popularyzacye wszelkich gałęzi wiedzy, udostępnienie szerszym wykształconym i kształcącym się sferom syntez nauki współczesnej i klasycznej, zapoznanie tych sfer z metodami i kierunkami badań”, wreszcie „udzielanie im przejrzystej orientacyi w rozbudowanym obszerne gmachu wiedzy”, — przejdźmy od razu do stwierdzenia faktu, że wszystkie dotychczas wydane tomy jaknajściślej takiemu założeniu odpowiadają. Przede wszystkim jednak dotyczy to ostatniej pracy d-ra Marceliego Handelsmana, która, jako tom drugi „Biblioteki”, świeżo się ukazała.

Praca ta daje nam syntezę z jednej strony tego, co do chwili obecnej, na podstawie zbadanych źródeł o stosunku Napoleona do Polski, jest nam wiadome, z drugiej zaś — syntezę dziejów organizmu politycznego, który połączenia naszych losów z losami wielkiego korsyka nina jedynym był rezultatem konkretnym, a więc — dziejów Księstwa Warszawskiego. Tak poeta i z rzetelnym talentem urodzonego historyka wykonana, praca Handelsmana stanowi znakomitą w dziedzinie naszej literatury historycznej nabytek. I jest to zarazem książka, jakich jaknajwięcej widzieć pragniemy. Nie brak bo nam w tak pięknie w ostatnich czasach „rozbudowanym” gmachu polskiej wiedzy historycznej dzieł monumentalnych, studiów wyczerpujących i sumiennych źródłowa z formą niezadko porwijącą łączących, nie brak monografii coraz bardziej drobiazgowych i nawet umiejętnych kompilacji dla celów popularyzatorskich; ale gdy do pierwszych niezawsze mamy odwagę zwracać, gdy ostatnie niemal wyłącznie zwracają się do czytelnika o niskim poziomie wykształcenia, — jednocześnie napróżno rozglądać się będziemy za opracowaniami, któreby, syntetycznie pewien moment dziejów traktując, formą swą i naukowym ujęciem wybredniejszy już umysł mogły zadowolić. Taka zaś właśnie książka jest Handelsmana: *Napoleon i Polska*.

Z tytułu i z tego, cośmy poprzednio powiedzieli, widać, iż dotyczy ona okresu naszych dziejów względnie może najmniej przez inteligentnego Polaka znanego. Najlepiej tu prawdopodobnie znane mu są fakty czysto militarnej natury, wpływające z udziału naszego w wielkiej epopei. Znacznie już mniej mógłby powiedzieć o stosunku do Polski Napoleona — polityka, mimo, że ostatnie lata przyniosły cały szereg w tym kierunku studiów (a nowe pierwszorzędne, jak wieść wśród historyków niesie, podać ma wkrótce rewelacye prof. Askenazy w drukującym się już tomie pierwszym dzieła, właśnie Napoleona i Polskę za przed-

miot mającego). Najgorzej jednak wypadłoby zapewne musiał egzamin, gdybyśmy o dzieje wewnętrzne Księstwa zahażyli.

A przecież okres jego istnienia tak krótki, ani rozległość zbyt mała (większa od obszaru Kongresówki!) nie mogą stanowić dostatecznego powodu, abyśmy tej „efemerydy” nie mieli głębszą otoczyć uwagą. Bo gdy ją tylko pilniej ku Księstwu Warszawskiemu zwrócimy, jakże ciekawy i pouczający ujrzymy obraz, obraz społeczeństwa, które, bezpośrednio po druzgocącym kataklizmie i letargu czasów pruskich budząc się do życia, pierś miało tak szeroką, w żyłach krew tak wartką i dłoń jasnej myśli tak posłuszną, że mogło, jednym tchem powietrza zaczerpnawszy, stanąć niemal o własnej sile i od razu tę dłoń do pracy wprzeznąć, a myśl, co nią kierowała, ku szukaniu właściwych dróg wyteńczyć. W taki właśnie sposób, prawie z dnia na dzień, odbyło się wskrzeszenie życia narodu. Nie mogło w tem dziele zapewne brakować tajemnych nici, wiążących dzień nowy z tem, co w poprzednim było twórczego; nie brak też było świeżych pierwiastków, które role odżywczych soków miały odebrać, a wśród nich najważniejszego: nowego ustroju prawnospołecznego, który z kolei stworzył świetną organizację administracyjną, umożliwił przetrzymanie szalonych na wydatki wojenne haraczów, dokonał iście olbrzymiego kroku w sprawie szkolnictwa, na znakomitą postawionego stopę.

O tem, jak te przeobrażenia dokonywały się i jaka drogą, w czem tkwiło ich źródło i jaka w stosunku do nich role odegrała polityka Napoleona, o polskiej wreszcie o nim legendzie i jej znaczeniu — mówi nam właśnie książka Handelsmana.

BADEN-POWELL AGNES. *Dziewczeta Przewodniczki*. Skauting dla panienek. Z upoważnienia autorki przełożyła Kazimiera Skrzyńska. Warszawa, 1914. Nakład księgarni E. Wende i S-ka; Lwów, H. Altenberg, G. Leyfarth, E. Wende i S-ka. Odbito w Drukarni Narodowej w Krakowie. 13 × 19. Knl. 2 + str. 289.

Siostra gen. Baden-Powella, twórca skautingu dla młodzieży męskiej, postanowiła urzeczywistniona przez swego brata ideę przystosować do wychowania dziewcząt. W ten sposób powstał system, dziś już w Anglii bardzo rozpowszechniony, a w założeniu swem nie tylko zbliżony do skautingu, lecz wprost posługujący się jego metoda. Różnica cała polega na dostosowaniu jej do odrębności fizycznych i psychicznych kobiet. Stąd też pewne zmiany w szczegółach, głównie co do zajęć i tematów pogadanek. Jednocześnie jednak wiele gier i ćwiczeń wziętych jest żywcem ze skautingu dla chłopców, a ustrój wewnętrzny, podział na drużyny i patrole, zarówno jak i cele moralne i obowiązki — pozostały bez zmiany. Też same więc mniej-więcej przepisy obowiązują młodzież mekka, jak i nie stowarzyszone „dziewczeta - przewodniczki” (takim bowiem mianem nazywała je panna Baden-Powell na wzór przewodników w rozmieszczonych na północy Indyi oddziałach armii angielskiej).

Wszystkie wiadomości, potrzebne powołanej do kierownictwa dziewcząt-przewodniczek instruktorce, jak i im samym, zebrała twórczyni systemu w książkę, która obecnie ukazała się w polskim przekładzie. Na trzystu bez mała stro-

nicach mamy tu więc nie tylko wykład zasad systemu, ale i niezliczoną moc wskazówek praktycznych, pouczających, jak w pewnych okolicznościach życiowych przewodniczka winna się zachować. Wskazówki te obejmują zakres bardzo rozległy, nie ograniczają się bowiem wyłącznie do wszelkiego rodzaju ćwiczeń, stanowiących podstawę skautingu, lecz w większej jeszcze mierze dotyczą różnych dziedzin potocznego życia ludzkiego oraz nieprzewidzianych wypadków. Tak więc po kolei każdy z rozdziałów poświęcony jest to znajomości zwierząt i przyrody, to znów sztuce tropienia, to wreszcie ratowaniu życia (i tu treściwie, ale dokładnie omówione są sposoby niesienia pomocy w nagłych wypadkach, zapobiegania katastrofom, doglądania chorych i t. d.). Osobne rozdziały poświęca autorka pielęgnowaniu dzieci, zarówno w zdrowiu, jak i w chorobie. W dalszym ciągu znalazły się wskazówki z zakresu życia domowego, a więc dotyczące utrzymania domu, kuchni i gospodarstwa wiejskiego; następnie szereg uwag o życiu na łonie natury (obozowanie, sport wszelkiego rodzaju i t. d.); wreszcie przepisy z dziedziny higieny. Ostatni rozdział omawia obowiązek obywatelski.

Obfita tę treść potrafiła autorka ująć w formie wysoce interesującej, bez czego książka mogła się stać suchym zbiorem przepisów i odstręczających młode czytelniczki moralów. Że jest przeciwnie, należy poczytać za wielką jej zaletę. Żywy tok opowiadania nie słabnie nawet tam, gdzie autorka zajmuje się sprawami czysto utylitarnymi, przy udzielaniu bowiem odpowiednich rad i wskazówek znajduje zawsze sposobność do przytoczenia charakterystycznych, z ujmującą prostotą opowiedzianych przykładów. W ten sposób książka pociągnąć może nie tylko dziewczęta, pragnące ściśle wypełniać objęte nią przepisy dla przewodniczek, ale i każdą młodą czytelniczkę, która znajdzie w niej tyle materiału dla zastanowienia się, że choćby drobna tylko część z podanych wskazówek zechciała w czyn wprowadzić, już niemalą bez wątpienia dla fizycznego i moralnego swego zdrowia odniesie korzyść.

CHMIELEWSKI KONRAD. *„Pokłosie belferki”*. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orzełbranda Synów. Składy główne E. Wende i Sp., Warszawa, L. Fiszer w Łodzi. — 13 × 20. Str. 157.

Znany pedagog i pisarz, K. Chmielewski, w świeżo wypuszczonym zbiorze drobnych szkiców daje jakby pamiętnik nauczyciela szkół polskich w Warszawie za lata 1905 — 1913. Większość zamieszczonych tu artykułów dotyczy najżywniejszych zagadnień, z życiem szkoły polskiej związanych. W ten sposób cały zbiorek daje poniekąd jej obraz we wspomnianym okresie. Na całość tomu składają się m. in. prace następujące: Z rozmyślań i pytań. Najmłodsze sufrażystki. O różnej postaci Chłomany. Przyczynek do etyki wychowawczej. O zadawaniu pytań w nauczaniu. Szkoła, postępek i ubranie. Publiczne rozrywki młodzieży. O nauce początków przyrodoznawstwa. Walka o byt dzieci. Jeszcze rozrywki naszej młodzieży. O wiośnie polskiej nieco i t. d.

Księgarnia

E. Wende i S-ka

Krakowskie-Przedmieście 9.

ADOLF NOWACZYŃSKI. „Apostol Tan-
ga”. Komedia w jednym akcie.

Drukowana w naszym piśmie kilka miesięcy temu jednoaktówka p. t. „Amu-
let”, pióra Adolfa Nowaczyńskiego, zia-
wiła się obecnie w książkowym wydaniu
ze zmienionym tytułem. Pisaliśmy o tym
wszystkie cechy talentu Nowaczyńskiego
posiadającym utworze z racji wystawie-
nia go na scenie teatru Letniego w War-
szawie.

ZYGMUNT WASILEWSKI. „Od Roman-
tyków do Kasprowicza”. Studia i szkice
literackie.

Rzeczowe pióro Zygmunta Wasilew-
skiego znane jest powszechnie. Dobrze
się więc stało, że dano w nowej edycji
studia jego i szkice, gdyż w ten sposób
będą je mogli poznać szersze war-
stwy czytającej publiczności. A niektóre
z nich są wyjątkowe zupełnie pod wzglę-
dem ujęcia i jasnowidztwa psychologii tak
jednostek, jak i zbiorowości naszej. Na
szczegółowe wyróżnienie zasługują roz-
działy „Liryzm Kasprowicza” oraz „Adolf
Dygasiński”. Wasilewski w sądach swo-
ich ma żywioł rasy lechickiej, ma troskę
o przyszłość narodową, jest, jednym sło-
wem, pisarzem, którego nie znać jest nie-
wolno. Może przeważa u niego troska
społeczna nad zmysł piękna — ale to mo-
że i lepiej. Zadużo mamy obecnie kry-
tycznych pieknoduchów!

Miscelanea.

W książce Maurycego Mureta: „Les
contemporains étrangers” (tom II) znaj-
dujemy niezmiernie ciekawe studium o
Reymonie. Szczególnie analiza „Chło-
pów” uderza sumiennością opracowania
i wielce interesującym wżyciem się au-
tora w psychikę twórczości Reymonta.
Ze studyów pisarzy zagranicznych, jakie
się zjawiały o Reymonie, jest praca Mau-
rycego Mureta najbardziej nam bliska
i sympatyczna.

INFORMACYE.

Panu Henrykowi S. Ażeby należy-
cie pielęgnować zęby, oraz dezynfekować
jamę ustną, należy używać wyłącznie pa-
stę „American”. zpreparowaną według re-
cepty prof. Miller'y z Bostonu.



Z Kalotechniki.

Nr. 1. L. B. Lanol jest środkiem
nieszkodliwym i niezawodnym dla
wygubienia piegów, — trzeba zużyć
wszystkie trzy numery, zaczawszy
od pierwszego. Najlepiej na noc sma-
rować masując kremem d-ra Or-
umyciu wytrzeć się płynem Vesta.

Nr. 2. Wiśce. Prosimy zasto-
sować odpowiedź dla Nr. 1.

Nr. 3. A. R. Pryszczyki te sma-
rować, masując kremem d-ra Or-
gley'a na noc, rano wycierać płynem
Vesta.

Nr. 4. Galivance. Oddziału Ka-
lotechniki w Wiedniu nie posiadamy.

Nr. 18. Zęby najhygieniczniej
konserwuje Elixir Radiowy firmy L.
Colsé & Co. Jako preparat radioak-
tywny, dezynfekuje jamę ustną, za-
bijając bakterie chorobotwórcze, o-
raz wzmacnia błonę śluzową, niwe-
czy przykry zapach z ust. Włosy
(wyczeszki) trzeba przysłać do ana-
lizy lekarskiej do Kalotechniki; le-
karz po zbadaniu zaleci odpowiednią
kurację. Analiza kosztuje rb. 3. Prze-
kazem. Porady lekarskie w Kalotech-
nicy od 4—6.

Nr. 75. Zmarszczki rozejdą się
przy stosowaniu masażu vibracyjne-
go. Można go wykonywać samej
Autowibratorem d-ra Johansena, lub
też w Kalotechnice. Przed masażem
wetrzeć w twarz trochę kremu Ra-
dium, bardzo odżywczo wpływające-
go na cerę. Mvć się Otrabkami Ve-
sta z Wodą Różaną radioaktywną.
Wytworne manicure wykonują się
w Kalotechnice przez uzdolnione spe-
cjalistki.

Wymienione środki wysyła na
prowincję Kalotechnika, Marszał-
kowska, 116, telef. 16-73. W Krako-
wie Miklaszewski, ul. Dominikański
nr. 1, we Lwowie Pawłowski, Aka-
demicka, 21, w Częstochowie Po-
pławski, w Kijowie Jurotat, w Łodzi
Psarski, Piotrkowska, 79, oraz Spiess.
Zarząd Kalotechniki.

MOR TĘPI RADYKALNIE
szczury i myszy
wyłączna sprzedaż
ST. STANISZEWSKI
Warszawa, Krak.-Przedm. № 31.
Skład apteczny i perfumeryjny.



MACZKA MLECZNA
Mag. KLAWE
najlepszy pokarm dla niemowląt.



Wypadanie włosów i łupież głowy.

(Rada specjalisty).

Łupież głowy i wypadanie włosów
sprawiają wielu osobom poważny kłopot.
Większość pań, cierpiących na to zło, dzie-
ki niewystarczającej dbałości, same siebie
winny winić za utratę włosów i marny
ich wzrost. Jeszcze więcej niż panie cier-
pią dzięki wypadaniu włosów mężczyźni.
Stosuje się, bezprzeczenie, wiele środków
na włosy, lecz rzadko kiedy dają one po-
żądane wyniki. Istnieje znakomity środek,
który każdy sam sobie może przygotować.
Należy wziąć w aptece 7 łytów spirytusu
lawendowego i 4 łyty Botary de Exanto,
i dobrze zmieszać jedno z drugim.

Poleca się co wieczór nacierać lekko
tą mieszaniną skórę głowy. Sporządzona
zgodnie z receptą, mieszanina ta jest nie
tylko znakomitym środkiem od łupieżu
głowy i wypadania włosów, lecz i cudo-
wnie działa, na porost włosów.

UWAGA. Spirytus lawendowy można
nabyć wszędzie. Botary d'Exanto u nas
jest jeszcze mało znane, mimo to może je
łatwością dostarczyć każdy aptekarz.

Wanda Stokowska

WIERZBOWA № 3, telef. 204-43

poleca WSTAŻKI, WOALE, WACHLARZE, AKSAMITKI,
GAZY, KORONKI, GUZIKI, DŻETY, ŻABOTY,
HAFTY, PASMANTERYE, GALONY
POŃCZOCHY, RĘKAWICZKI, ŻAKIETY WŁÓCZKOWE,
oraz wszelkie przybrania do sukien.

„Au Délice”

CHMIELNA 14. Tel. 182-21.

Cukry, Czekolady, Kakao, Bisz-
kopty i wszelkie wyroby z fabryk
„Jan Fruziński”, „Fuchs”, oraz Ro-
syjskich i Zagranicznych otworzyłam
o czym zawiadamiam Sz. Odbiorców
8933 **BOGUMIŁA ZATORSKA.**

Nowość: zamówienia przyjmują
się przez telefon do godziny 10-ej
wieczorem, z odsyłaniem do domu.
W niedziele i święta sklep otwarty od
2do5. Na prowincję za zaliczeniem.

KONFEKCJA MĘSKA
i BIELIZNA

SIEWICZ i WASZKIEWICZ
70. NOWY-SWIAT 70.

